Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po 1½ kr. za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

5. Kwietnia 1856. № 41. Rok trzeci.

Magnat wielkopolski.

(Ustęp z pamiętników J. D. Ochockiego)

przepisanych przez

J. I. Kraszewskiego.

Sposób myślenia, chęci, pragnienia i stan serca mojego przyjaciela w Lublinie, młodego Antoniego Lipskiego, był podobny do mego; biedny i poczciwy Antoś mój od półtora roku kochał się zapamiętale w Pannie Ewie Targowskiej. Było ich dwie siostr, z matką mieszkały w Lublinie, w pałacyku z bardzo pięknym ogrodem, będącym przechadzką publiczną, którego najem z pierwszem piętrem czynił ze trzysta dukatów rocznie, a wioseczka pod Lublinem, z dziesięciu kmieciów złożona, dawała im sześć tysięcy. Mąż Pani Targowskiej, dziś wdowy, człowiek niegdyś majętny, stracił w procesach znaczną fortunę i życie, zostawiwszy resztki tylko żonie i dzieciom. Starszej siostrze imie było Justyna, młodszej Ewa: obie pod okiem matki wiodły życie bardzo skromne i przyzwoite; uczęszczały jednak z nią razem na zabawy, i były zapraszane wszędzie na bale i festyny do najpierwszych domów. Natura obdarzyła je obie niepospolitą pięknością, ale dla Ewy więcej jeszcze niż dla siostry była szczodrą; nie zbywało jej na niczem co oczy i serce pociągać może. Nic dziwnego że Lipski pokochał tak godną miłości osobę, i przywiązał się do niej namiętnie, do szaleństwa, a u niej także potrafił pozyskać wzajemność. Na zawadzie szczęściu stawał tylko ojciec, arystokrata, który pochodząc z dosyć znakomitej rodziny, wsparty co do fortuny spadkiem po kardynale Lipskim, Prymasie Korony Polskiej, nie zdawało się, by łatwo mógł przyzwolić na takie syna ożenienie. Miłość swoją musiał Antoni okrywać największą tajemnicą.

Ani matka, ani córka nie chciały od Lipskiego żadnych darów przyjmować; ale miłość jego znalazła środek pełen delikatności przyjścia im w pomoc i to go w ciężkie długi wpędziło. Tak naprzykład kupił przy mnie piękną karetę z parą końmi do miasta i zapłacił za nią dwieście sześćdziesiąt dukatów, a mnie użył do pośrednictwa w sprzedaży jej Pani Targowskiej. Musiałem powiedzieć, że ją nabyłem u kogoś potrzebnego za osiemdziesiąt czerwonych złotych i że za tę samą cenę odstąpićbym ją życzył; projekt przyjęto, pieniądze mi zwrócono, a ręka która tak delikatnie świadczyła, na zawsze ukrytą została. Takiemi to środkami tajemniczemi zasilał tę rodzinę, wyszukując sposobów osłodzenia jej życia.

Lipski miał od ojca sześćset dukatów rocznej pensyi; te mu przysyłał regularnie Podkomorzy, po pięćdziesiąt co pierwszy każdego miesiąca, z listem pełnym napomnień i surowych życia prawideł. Pisma te, ani stylem, ani uczuciem nie trafiały do przekonania i serca, groźne były zawsze, wpajały tylko posłuszeństwo ślepe, niecierpliwiły rodząc niechęć i odrazę, lub obawę i niepokój.—Czytywałem i ja te listy, które Antoni otwierał z bojaźnią i niechęcią: jeden przebiegłszy łatwo już było odgadnąć treść następujących, bo się w nich zawsze toż samo powtarzało. Listy matki okazywały i mocne przywiązanie do syna i łagodność a dobroć serca, które z nich poznawszy wcześnie, gdym osobiście ją zobaczył, lepiej jeszcze ocenić potrafiłem.

Antoni Lipski utrzymywał się na dobrej stopie, do tego wyżej wskazane wydatki zapędziły go za daleko, pensyi mu wystarczyć nie mogło; zrobił długu około trzydziestu kilku tysięcy, kredytorowie nacierali, on się poczynał lękać, żeby to do ojca nie doszło i niesłychanie się tem gryzł i martwił. Pisując do ojca i matki, wspomniał im o związkach przyjaźni ze mną i wystawił mnie przed rodzicami swemi w jak najpochlebniejszych kolorach. Tymczasem, gdy dni nasze dzieląc między zatrudnienia ważniejsze, zabawy i miłość, szczęśliwe pędzimy godziny, pierwszego sierpnia przyjaciel mój odbierając zwykłą pensyę, zarazem w liście otrzymał rozkaz stawienia się na Święty Roch, na imieniny ojca do domu... Matka dodała z macierzyńską swą czułością, że spodziewają się dosyć gości i życzą aby z sobą przywiózł przyjaciela o którym tyle wspominał, i którego oni poznać pragną.

Podał mi ten list Lipski i spojrzał w oczy, żądając mojego postanowienia,

— Przenikam życzenie twoje—odezwałem się—i jadę z tobą.

Tem łatwiej mogłem to uczynić, że w Lublinie mało mi już pozostawało do roboty, a Raczyński podejmował się resztę za mnie pozłatwiać interesów. Uściskał mnie czule drogi przyjaciel, ale zarazem dodał:

— Nie wiem czy potrafisz znieść dumę ojca mego.

— Nie bój się—rzekłem—damy sobie jakoś radę.

Wyjechaliśmy więc oba na tydzień przed imieninami, a choć na krótko rozstawaliśmy się z naszemi kochankami, bez łez się nie obeszło. Ruszyliśmy na Warszawę, w moim koczyku opakowanym do zbytku garderobą, dla uczciwego pokazania się i wystąpienia; ja nawet nie zapomniałem o mojej makacie Radziwiłłowskiej, która później ważną tu odegrała rolę.

Porobiwszy sprawunki w Warszawie, na które i dla Antosia worek miałem otwarty, oporządziwszy strzelca w mundur nowy, kupiłem dywan bardzo piękny, szlafrok

prześliczny aksamitny, pikowany puchem erdredynowym i zbiór flakonów z zapachami, jakoteż inne jeszcze dodatki do garderoby, a pożegnawszy Księdza Metropolitę i mego nieocenionego protektora, Wojewodę Stempkowskiego, który znał Podkomorzego Lipskiego gdy był Posłem, ruszyliśmy w dalszą podróż. Korzystając z tej znajomości, prosiłem Pana Stempkowskiego, aby mi dał na ręce moje list niby z powinszowaniem do Pana Lipskiego, polecający mnie; Wojewoda uczynił to chętnie i bardzo pochlebnie w nim się wyraził; oprócz tego, dał mi spinkę brylantową wielkiej ceny i guzy kameryzowane do kontusza, dodając:

— Kogo polecam, chcę, żeby się nie lada jako pokazał.

Ruszyliśmy tedy w Rawskie do Janowca, jedenaście mil od Warszawy i pocztą stanęliśmy tam dnia jednego; Janowiec, choć małe miasteczko, wydał mi się pięknie zabudowanym, jak wszystkie w tej prowincyi; za nim pokazał się w perpesktywie pałac, do którego odwiecznemi lipami sadzona wiodła ulica. Zajechaliśmy w ogromny dziedziniec; dwupiętrowy, rozległy korpus domu otaczały dwie duży oficyny; w podwórzu kręciło się sług mnóstwo. Była to godzina wieczorna, nad zachodem słońca weszliśmy na piętro i stanęli w salonie bawialnym, gdzieśmy zastali panią Podkomorzynę, a z nią dwie damy i dwie małe córeczki. Antoś mnie jej przedstawił.

— Domyśliłam się — rzekła grzecznie — że synowi winnam przyjemność poznania jego przyjaciela.

Z pół godziny potem czekaliśmy na Pana Podkomorzego, tymczasem pani domu rozmawiała ze mną uprzejmie, z jakąś przyjacielską życzliwością; zaczęto już przygotowywać stół do kawy, gdy nareszcie wtoczyła się Jego Podkomorska Mość, w kapocie z gwiazdą Orła Białego. Skoczył syn ucałować rękę ojcowską, podaną chłodno i bez wejrzenia na niego; to obejście zgrozą mnie jakąś przejęło.

Stałem przy Pani Podkomorzynie, która się odezwała, usiłując na mnie zwrócić uwagę:

— Mężu, Pan Ochocki, przyjaciel naszego Antosia, z którym już zrobiłam znajomość......

Odwrócił nieco głowę i kiwnął, nie poruszając karku; ja też niebardzom się nisko ukłonił, bo już i do większych chwała Bogu a grzeczniejszych figur byłem przywykły, gdy Podkomorzy się odezwał:

— Zajęty byłem wyprawieniem expedycyi do Warszawy, w której widzę głupstwa robią... Chcą Tron elekcyjny na dziedziczny przemienić, do góry nogami wywracają instytucye stare, cios ostateczny zadają prerogratywom szlacheckim. Myślą Ichmości o jakieś nowej formie rządu, obedrzeć nas chcą do ostatniej koszuli; obłożyli podatkami, egzakcyami, erygują sto tysięcy wojska bez żadnej potrzeby; przecież za szczęśliwego panowania dwóch Sasów niebyło tego wszystkiego, a Polska w pokoju nieprzerwanym sześćdziesiąt kilka lat przebyła... Ale tak być niemoże, stanę przeciwko temu wszystkiemu; piszę właśnie o tem do mego kuzyna, Marszałka Wielkiego Koronnego, do wuja mego, Pana Wojewody, do brata, pana kasztelana,..

Zdemonstrował mi się tedy od razu kto był, alem się na to ani słowa nieodezwał. Za Podkomorzym wsunęła się w czerni niezmiernej objętości figura, cała świecąca od grodeturu, który ją okrywał, z licem kraśniejącem czerwonością i jakby rosą kroplami potu skropionem, był to Ksiądz Proboszcz, który, jak się później okazało, nie tylko w ten sposób mógł się cokolwiek odznaczyć.

Tymczasem Pani Podkomorzyna zapoznawała mnie z panią Cześnikową Bromirską, blizką swą sąsiadką i Panną Cześnikówną, Emilią Brochocką, siostrzenicą jej męża. Oddałem się więc całkowicie damom, a Podkomorzy sobie politykował z Proboszczem, wciąż płoniejącym jak w suchej wannie. Po kawie przyniesiono pontyfikalnie Pokomorzemu czterołokciowy cybuch wiśniowy, zakończony lulką, stambułką wyzłacaną, który on pomaleńku ssał prawie godzinę. Towarzystwo wcale nie było ożywione; ja w najgorszym humorze,. Antoś, któremu wciąż położenie jego było obecnem, niesłychanie smutny, jak z letargu budziły go tylko niekiedy zapytania ojcowskie; Proboszcz milczał i czasem się tylko obcierał, a Podkomorzy traktował mnie widocznie jak sprzęt jaki w domu nie potrzebny, którego niewiedzieć dla czego nie wyrzucają.

Było naówczas zwyczajem, że się do najbliższego i do najpoufalszego sąsiada przyjeżdżało zawsze przy pałaszu lub przy szpadzie, stosownie do ubioru; przyjechać bez oręża byłoto uchybić domowi; ale gospodarz winien był zaraz prosić gościa, aby odjął szablę czy szpadę; tymczasem podkomorzy, choć byłem przy pałaszu i ja i syn jego, ani słowa nam nie powiedział. Gdyśmy mieli iść do stołu, pani podkomorzyna poprosiła mnie o odjęcie pałasza, co też uczyniłem, ale syn siadł jeść przy szabli.

Przysunąłem się zaraz z początku do Panny Emilii; była to osoba dość piękna, około lat dwudziestu mająca, ale trochę pedantka i jak mi się zdało, zarozumiała w swych wdziękach i rozumie; chociaż grzeczna, tego wieczora trochę mnie jeszcze z góry jakoś traktowała. Otworzono drzwi do sali jadalnej, podkomorzy ani się obejrzawszy ruszył, podkomorzyna podała mi rękę, poszliśmy i miejsce tuż przy niej zabrałem u stołu.

Siedziało nas osób ze dwadzieścia, różnego kalibru, wąsatych, wysokich, małych, grubych, ciężkich i wysmukłych, guwernantka, trzy panienki i ów ksiądz proboszcz o którym wspominałem. Podano liche bardzo jedzenie, a żem był zły, nie ruszyłem nic, nie jadłem i nie piłem, zrzuciwszy to na ból głowy.

Po kolacyi, udając bardziej jeszcze cierpiącego, prosiłem ażeby mi wolno było odejść do mojej stancyi. Antoś i jeszcze jakiś dworski mnie odprowadzali do oficyny, w której dano mi ciupkę tak malutką, że w niej ledwie dwa łóżka, połamany stolik i dwa brudne krzesełka pomieścić się mogły. Zaraz przy dworskim kazałem sobie podać ser szwajcarski, bułkę i wino, które z nami z Warszawy przybyły. Położyłem się potem w łóżku, a Antoś poszedł do rodziców, gdzie bawił bardzo do późna. Gdy powrócił, nie spałem jeszcze.

— Coś robił? — spytałem.

— Byłem u ojca i matki, opowiadałem im naszą bytność w Lublinie i w Warszawie, gdzieś ty mię woził i z kim poznawał; opowiadałem o znajomościach i stosunkach twoich. Ojciec mój żałuje bardzo że cię tak źle ulokował.

— Niech się papa nie trudzi — zawołałem — pojutrze w nocy wyjedziemy.

Ścisnął mnie za rękę przyjaciel.

— Nie rób tego dla mnie — rzekł z uczuciem.

Długośmy z sobą gadali w nocy; była na placu i panna Emilia, która jak Antoś powiadał, dała o mnie zdanie żem chłopiec do rzeczy.

Nazajutrz około ósmej, przyszedł dworski z oznajmieniem że państwo prosi na kawę, a piliśmy właśnie swoją czekoladę.

— Kawy zrana nie pijam — rzekłem — widzisz Waćpan że czekoladę już mamy; proszę Państwa przeprosić, że tak rychło służyć nie będę, bo mam co do pisania.

Antoś w chwili się ubrał i zaraz poszedł.

Siadłem w istocie pisać do osób z któremi miałem stosunki, i to mnie zabawiło ze trzy godziny; około jedenastej wszedł wąsaty, otyły, dobrze ubrany polak, około lat pięćdziesięciu mieć mogący, pan Gosławski, miecznik zapewne Wendeński, z tytułem mi się prezentując jako marszałek dworu i zapraszając w imieniu państwa na śniadanie.

— Bardzo przepraszam — odpowiedziałem — mam jeszcze co pisać, a tymczasem prosząc siedzieć skinąłem na mego strzelca, który podał podróżny likier wrocławski, westfalską szynkę i montowe bułeczki warszawskie. Łyknął pan marszełek kieliszek likworu.

— A! przedziwny likier, panie Dobrodzieju! — zawołał i szynka wyborna... ale muszę odejść żeby oznajmić że pan nie będziesz na śniadaniu.

Poszedł tedy, ale w pół godziny powrócił gadatliwy marszałek, obszernie aię rozwodząc w pochwałach dla podkomorzego, wynosząc jego dostatki i znaczenie, prawiąc nawet o pannie Emilii, mającej sto dwadzieścia tysięcy posagu i t. d. Opowiadał mi potem, ocierając czoło, jak od tygodnia pracuje nad wystawnem urządzeniem imienin podkomorzego, że jedenaście lat już jest w tym domu: że na rok bierze dwa tysiące złotych, słowem, wyspowiadał mi się całkowicie.

Ja tymczasem przeprosiwszy go ubierałem się i około pierwszej przypadłem na pokoje, gdzie podkomorzynę z jej satelitami już zastałem; podkomorzy daleko był teraz grzeczniejszy, spuścił nieco z górnego tonu swego ale zawsze przebijała się w nim niepohamowana duma.

Ja także weselszym byłem i grzeczniejszym starałem mu się okazać; przeprosił mnie nawet za daną niewygodną kwaterkę, z powodu że inne dla spodziewanych gości były rozebrane, ale dodając że już inną dał dyspozycyą. Na to odpowiedziałem:

— Młody człowiek wybornie się wyspać może na gołej ziemi, pod kotarą niebieską, na prostym wozie odbędzie podróż i rżanym chlebem suchym głód zaspokoi.

Dodałem prośbę, aby niezmieniano dla mnie porządku w umieszczeniu osób, gdyż nazajutrz będę musiał pożegnać państwo podkomorstwo.

— A! nie puścimy pana tak prędko! — rzekł podkomorzy po raz pierwszy, wyciągając mi rękę, którą naturalnie przyjąłem jako wielce zaszczytny i uszczęśliwiający mnie dowód łaski. Wtem pokazała się kareta, zawołano: Państwo Cześnikowie jadą. (C. d. n.)

Przemytnik.

Ciąg dalszy.

Tu nagle rozmowa umilkła, czyli przeszła w rodzaj szeptu, tak jakoś szczególnie cichego, że mnie skusił szatan ciekawości, najstarszy jak wiadomo szatan, bo się pierwszy naszej prababce Ewie pojawił. I posunąłem się dalej. Lecz na nieszczęście trafiłem na beczkę, która z łoskotem przewróciła się. Ozwał się krzyk kobiecy w pół głośny, i tuż koło mnie przemknął mężczyzna jakiś, w którym gdy przez drzwi wpół otwarte umykał, zdało mi się poznać przystojnego pisarza. Niemiałem wszakże czasu przypatrywać się, bo nagle otworzyły się drzwi jakieś z komórki zapewne, światło z niej wprost na mnie uderzyło, i w tem świetle ujrzałem postać kobiety.

Miał słuszność pan Teofil. Piękniejszej niewidziałem może nigdy twarzy. Płeć była śniada, ale tak przezroczysta, że się zdało widzieć krew pod nią płynącą; owal twarzy, kształt nosa, wykrojenie ust małych i pełnych, wszystko zdradzało pochodzenie wschodnie. I była biblijna prawdziwie słodycz i niewinność na ustach, który otaczał wyraz jakiś smutny; ogień wschodu gorzał na twarzy którą w tej chwili pokrył rumieniec wstydu. A oczy! w tych oczach wielkich, czarnych i ognistych był cały zapał wschodu, były wszystkie męki wschodu, pałająca wyobraźnia jaka się pali w piersiach i sercach pod gorącem wschodu słońcem.

I te oczy patrzały na mnie z wyrazem pół trwogi, pół ciekawości. W tej chwili po raz ostatni zdało mi się widzieć moje czarne prześladowniczki, ale bledniejące ze wstydu pełzły i znikły. A piękna żydoweczka patrzała ciągle na mnie, lecz znać twarz moja zdziwiona i zapewne zapłoniona nieco, musiała przestać ją niepokoić, bo wyraz trwogi znikł z oczów, które patrzały już tylko na mnie z badawczą ciekawością, jakby mi aż do serca zajrzyć chciały coby im podobno nie trudno przyszło. A koło ust zdało mi się postrzedz uśmiech jakiś łagodny, uśmiech przyjazny nawet.

I kto wie cobym był jeszcze ujrzał, gdyby to zdybanie samotne dłużej potrwało. Na szczęście mojej miłości własnej, galopującej na złamanie karku, wszedł pan Teofil oglądając się za mną.

— Poznaliście się już jak widzę z Ruchlą! wyrzekł z flegmą, której starokawalerska proza oblała mnie jakby zimną wodą.

— A prawdę mówiłem, ciągnął dalej z uśmiechem właściwym takim panom Teofilom, uśmiechem który gotów by rozczarować najzapaleńszego wielbiciela wyższości człowieczej; że piękna to nie sekret.

Ruchla skłoniła się z lekka przed nami, i udało mi się postrzedz, że spojrzenie jakiem obdarzyła pana dziedzica, było wielce odmienne od spojrzenia, którem raz jeszcze popatrzała na mnie. Patrząc na pana Teofila, było w jej uśmiechu nieco pogardliwego szyderstwa.

— Dobrze ci tak stary kawalerze! pomyślałem.

— Czy jest Aron? zapytał dziedzic.

— Dziadek jest w swoim pokoju.

— Chcielibyśmy się widzieć z nim...

*

— Proszę do izby.. On teraz zajęty czytaniem, ale w krótce drzwi otworzy. Tam czekają na niego ludzie różni.

I z grzeczną układnością której trudno się było spodziewać po prostej żydówce, otworzyła drzwi, sama usuwając się na bok.

Weszliśmy do wielkiej dość izby. Niewiem czy tak było w rzeczy samej, czy już mnie tak piękność młodej żydówki uprzedziła, ale znalazłem w tem pomieszkaniu wszystko czystem nad spodziewanie moje. Wielki panował porządek w sprzętach nie bogatych, i nie różniących się niczem od zwyczajnego umeblowania majętniejszych pomieszkań żydowskich, po naszych miasteczkach. Ten sam jak zwykle mosiężny świecznik wisiał u powały, a w kątach stały szafy z miedzianemi i cynowemi naczyniami, i łóżka mnogiemi poduszkami piętrzące się. W głębi tej wielkiej izby, był rodzaj alkowy, w której środku na wywyższeniu dwóch czy trzech schodków stały drzwi zamknięte, prowadzące, jak mi to zaraz pan Teofil pokazał, do pokoju Arona.

Wyszedł na przeciw nam ojciec Ruchli, w średnim wieku mężczyzna, o pięknych, dobitnych, wschodnich rysach, w których mimo widocznego podobieństwa do pięknej Ruchli, przebijała jakaś niemiła ponurość.

Prócz niego było w izbie więcej jeszcze osób, którzy jak nam zapowiedział pan Icek czekają na Arona.

— On się zaczytał, a jak czyta, to nikomu nieotworzy. Ruchla pobiegła wszakże do drzwi w alkowie i dobitnie ale z lekka i po trzykroć zapukała, lecz daremnie, żadnego bowiem nie usłyszeliśmy ani głosu, ani ruchu.

— Dziadek wnet otworzy! przemówiła piękna żydóweczka, pojętnym na nas wszystkich, rzuciwszy urokiem jakby chciała odgadnąć myśli nasze. Na mnie, zdało mi się, dłużej spoczęły jej wielkie czarne i cudnie piękne oczy. I nic dziwnego wszak ja jeden, znałem jej serdeczną tajemnicę.

W izbie było kilku żydów, chłopów i bab. Wszyscy jak mówili przychodzili z rozmaitemi sprawami do białego żyda, jak go nazwano, aby rozsądził, Pomiędzy innemi był jeden nadzorca z straży pogranicznej, kłócący się z jakimś małym zyzookim żydkiem o lichwę, ile zrozumieć mogłem. Strażnik przystąpił do nas. Był to jak się dowiedziałem brat romansowego pisarza. Rozpowiadał nam o różnych drobnych zdarzeniach, a potem obejrzawszy się w około wyrzekł ciszej.

— Mamy także nadzieję, że się nam uda przecie złapać czarnego żyda.

— Coś mi o tym wspominał mój pisarz gdy tu wchodziłem..

— I kiedy? zapytałem z nieudaną ciekawością.

— Dziś w nocy!..

— Twoje życzenie ziszczone! wyrzekł trochę szyderczniej flegmatyczny przyjaciel.

— Pan chcę do nas należyć? zapytał strażnik, patrząc na mnie z większym respektem.

W tej chwili zdało mi się usłyszeć lekkie westchnienie, obejrzałem się; o parę kroków stała żydóweczka i patrzała na nas. W jej oczach była natężona uwaga, i wyraz jakiś groźny. Nagle spojrzała na mnie, i niewiem czy słyszała naszą rozmowę, ale wzrok jakim popatrzyła na mnie był błagający prawie. Może mi się tak wydało, ale niewiem dla czego serce moje ścisnęło się niewymowną litością dla tej dziewczyny w której łonie przeczuwałem głębsze od zwyczajnych uczucia, ognistsze namiętności, które ją uszlachetniały w oczach moich.

— Biedna drzy zapewne o kochanka! pomyślałem.

— Może i pan zechce pojechać z nami? mówił dalej strażnik do pana Teofila zwrócony.

— Ja?.. odrzekł pan Teofil z tak naiwnem zadziwieniem, że nam to za odpowiedź stanęło.

W tej chwili dał się słyszeć lekki szelest w alkowie Spojrzeliśmy w tę stronę, drzwi były już otwarte, i stał w nich biały żyd. W ciemne ramy w podwoje ujęty przedstawiał on obraz, obraz szczególnej piękności, jakby wyszły z ręki arcymistrza. Był to mężczyzna postawy, którą by można nazwać było atletyczną, gdyby nie miękkość wieku i powagi, która ją tylko szlachetną robiła. Ubrany w ciemnej, fałdzistej szacie, miał w całym wyrazie swojej figury coś nadzwyczaj poważnego, rzecby można starożytnego, posągowego. Na czarnej szacie cudnie odbijała broda biała jak śnieg najbielszy, długo i szeroko rozsypana po całej szerokiej piersi. Rysy twarzy wyraziste, wydatne i wspaniałe, odznaczała powaga i spokój, które zdawały się utrzymywć w swych szrankach wewnętrzną siłę niezwykłą, co zdawała się być typem charakterystycznym tej całej postaci. Długie i także białe jak śnieg włosy, nie przykryte żadną jarmurką, uzupełniały wyraz prawdziwie patryarchalny twarzy i postawy starego Arona. Skłonił się ku nam poważnie i uprzejmie i usunął od drzwi jakby zapraszał, byśmy weszli do niego.

Cały pojaw białego żyda zajął mnie niepospolicie, do czego i to się przyłożyło, że mówił po polsku bardzo czysto, i dobornemi nawet słowy, a głos miał pełny i dźwięczny. Mimo całego uprzedzenia jakie miałem do starozakonnych musiałem Aronowi przyznać coś niepospolitego coś wyższego. I mimowolnie zbliżając się do niego, rozbudzał się jakiś szacunek dla tej natury, tak szczególnie wyposażonej. Wpływ ten dawał się uczuć każdemu, uważałem nawet, że mój pan Teofil w przytomności Arona mniej był rozmowny i mniej pewny siebie.

Weszliśmy tedy do izby starego Arona. Był to pokój niezbyt wielki, bez żadnego drugiego wychodu, skromnie ale bardzo czysto ubrany, z wielką w głębi szafą, która mnie uderzyła starożytnym kształtem swoim, i mnóstwem ksiąg ogromnych, na jej wierzchu złożonych. Na stoliku, przed wielkim krzesłem leżała także książka hebrajska rozwarta. Za nami weszli wszyscy czekający, patrząc na żyda z wyraźnemi oznakami niezwykłego uszanowania, które stary żyd przyjmował jak najnaturalniej.

— Jeżeli udaje, pomyślałem sobie, to przynajmniej po mistrzowsku tumani.

— Przywitawszy nas kilką słowami grzeczemi dodał zwrócony głównie do mnie i mego przyjaciela.

— Panowie darują że czekali, ale to jest godzina moich pacierzy i rozmyślań. I teraz jeszcze muszę przeprosić, ale ci ludzie czekają już dawno na mnie; może mają jakie pilne interesa... więc...

— Nic sprawiedliwszego! ozwałem się; proszę na nas nie zważać; my mamy dosyć czasu.

— I pan będziesz miał lepszą sposobność poznać starego Arona! wyrzekł z pół uśmiechem niby naiwnym, który wszakże nie był bez szyderstwa. (C. d. n.)

Do Mieczysława R.

(*W odpowiedź na wiersz zawarty w Nrze 36tym Nowin.*)

Gdy się na chwilę od was wykradłem,
Tyżeś to wątpił, że jeszcze wrócę?
Tyżeś to myślał że już przepadłem?
Że tylko dumki u nóg Jej nucę,
A przy jej źrenic rozblasku boskiem,
Serce poety stopniało woskiem?

A gdyś usłyszał piosnkę z daleka,
To już myślałeś żem łzą się zalał?
I rzekłeś sobie: „Szkoda człowieka!
„Bo oto z męża na dziecko zmalał;
„Zrzucił cierniowy wieniec ze skroni,
„I gdzieś za szczęściem latawcem goni!

I każesz strony pleść mi jedwabne,
Każesz do włoskich spieszyć okolic,
Piać, jak Petrarka, piosnki przywabne,
Aby wzajemność zdobyć białolic,
Jakbym niczego niechciał już więcej,
Jak tylko uśmiech zyskać dziewczęcy!

A nie odgadłeś, żem się nachylił
Tylko po nowy cierń, ostry, twardy.
Żem się tą marną piosnkę rozkwilił,
Tylko na próbę: czy z pieśni hardej,
Co w pancerz wrasta, jeszcze cierpienie
Potrafi dobyć — choćby westchnienie?

A dziś we waszym stając znów kole,
Chociaż powracam na twarzy bladszy,
Ale mam większy spokój na czole,
Bom znów o jedną boleść bogatszy,
O jedną więcej przetrwałem burzę,
O jedną więcej urągam chmurze.

A nie mów: „Marny ból osobisty!
„Bratnią-li wolno płakać żałobą.»
Bo nikt zaprawdę niebył tak czysty,
Żeby aż przestał samym być sobą!
A w każdym bolu, choćby we własnym,
Duch się hartownym staje i jasnym.

I oto w szersze skrzydła porosłem,
Twardszem nawiązał strony ze stali,
We waszym gronie czołem wyniosłem,
Znowu wyzywam piorun co pali;
Do grzmiących pieśni, do orlich lotów,
Teraz o bracia! znowum ja gotów!

A gdybym kiedy znów was porzucił,
Ty już nie zwątpij o mnie mój druhu,
Lecz powiedz: „Wróci, jak niegdyś wrócił,
„Wróci silniejszy, bielszy na duchu,
„Bo jakąkolwiek buja dziś stroną,
„Duszę ma w słońce jak my zwróconą!

A...

Do biografii Mickiewicza.

Każdy naród lgnie sercem do wielkich swoich mężów, bo oni są miarą jego wewnętrznej potęgi. Stara on się otoczyć świętą czcią to wszystko, co się do życia owych wielkich ludzi odnosi; każda drobnostka, każde słówko rzucone w pobieżnej rozmowie, lub napisane w przyjaźnem zwierzeniu się przyjacielowi, wszystko to jest relikwią po świetnem imieniu, które naród z dumą wymawia.

Imiona jak Byron, Szyller, Göthe mają oddzielne swoje dzieje i osobną nawet literaturę. Opisy ich żywotów tworzą dzisiaj tomy, z którychby małą bibliotekę złożyć można, i stały się nierozdzielną częścią literatury narodowej. I nie mały wpływ wywierają na spółeczność dla której ci wielcy mężowie pisali. Poeta jest to kapłan narodu, każda jego myśl, każde słowo powinno wytryskać z owego świętego źródła, z którego wziął namaszczenie. A słów takich chętnie naród słucha, jeśli całą duszą pokochał tego z którego ust one wychodzą. To też skrzętnie zbiera owe perły, które wielki mąż w chwilach posłannictwa swego na drogę żywota mu rzucił, zbiera te skarby, aby niemi żyć i ducha zasilać, gdy w życiu męstwa i odwagi potrzeba.

Taki to wielki nasz kapłan przestał niedawo żyć. Autor Dziadów i Tadeusza czeka napisu na grobie swoim, który mu wyryć ma ręka narodu.

Jak we wszystkiem innem, tak i w najdroższych uczuciach serc naszych wyprzedzili nas cudzoziemcy. Oni przeczuli więcej kolosalną wielkość naszego poety i nazwali go największym epikiem z czasów chrześciańskiego świata. A my, grzejąc się przy sercu jego i słuchając z ust jego tych pieśni, które dla nas i przez wieki nie przebrzmią, cóż uczyniliśmy ku czci naszego kapłana! Nie jeden z nas ściskał dłoń jego, bawił się z nim przyjacielską rozmową, cóż wymazało dzisiaj z naszej pamięci wspomnienia chwil owych, które już dzisiaj nie do pojedyńczych, ale do narodu należą, bo charakteryzują wielkiego męża, który całe swoje życie, myśli i uczucia rzucił w skarbnicę narodową, abyśmy wszyscy zasiłek z niej czerpali. Więc święta cześć należy się każdej relikwii, pozostałej po zgasłym naszym kapłanie, a taką relikwią jest każda drobnostka, każde słowo jego, każdy najsubtelniejszy szczegół ciernistego jego żywota. Z takiego to materyału, wydobytego z serc naszych wspómnień, może się utworzyć piedestal, godny wielkości naszego wieszcza, a postawiwszy go u siebie tak wysoko, jak on na to sobie zasłużył, okażemy go obcym narodom, i z tej strony, z jakiej go oni jeszcze nie oglądali. A dla nas będzie to miłem przekonaniem, żeśmy pamięć naszego wieszcza godnie uczcili.

Odzywamy się więc do wszystkich, którzy w jakiejkolwiek z nim byli styczności, aby każde słowo jego, wymowione w przyjacielskiej pogadance, każdą przygodę, w której byli razem z nim uczestnikami, skreślić raczyli. Szereg takich wspomnień, które nam materyałem do biografii zmarłego, rozpoczynamy niniejszym artykułem.

Odwiedziny u Mićkiewicza.

Byłem u Mićkiewicza w Styczniu i Lutym 1853 r. w Paryżu. Piastował podówczas dany mu od Napoleona III., urząd konserwatora biblioteki arsenalskiej, znajdującej się w gmachu, należącym niegdyś do Sallego. Mieszkał zaś w innej części miasta, na bardzo odległem przedmieściu, za pałacem Luxembourg, przy ulicy: „Notre Dame des Champs, pod Nr. 75.

Chcąc go widzieć, udałem się do biblioteki arsenalskiej, w mniemaniu, że przy niej mieszka.

Było to podobno w niedzielę, nie zastałem go, lecz na drzwiach izby odźwiernego przeczytałem na źle oddartym kawałku papieru jego imie, z oznaczeniem pory, w której urzęduje, napisane po francusku, jego, jak mniemam własną ręką: niedbały bowiem format karteczki miał coś charakterystycznego, a pismo przypominało zupełnie autografy wieszcza.

Udałem się nazajutrz do jego pomieszkania lecz i tym razem nie zastałem go; było to około 12tej. Zostawiłem kartę wizytową, i dowiedziałem się od stróża domu, że około trzeciej z południa Mićkiewicz do siebie powraca.

Wszcząłem ze stróżem i jego żoną rozmowę o nim. Nie umiem powiedzieć czy wiadomo im było, że mieszkają pod jednym dachem z wielkim człowiekiem, gdyż chcąc mieć bliższe o nim szczegóły, tylko tę otrzymałem odpowiedź:

— „*C'est un homme bien placé.*» — (Człowiek przy zwoitego znalezienia się). —

Innego dnia poszedłem znowu, o naznaczonej godzinie do pomieszkania wieszcza. Była to kamieniczka narożna, jakby rodzaj oficyny, z małym dziedzińcem i bramą z wychodem na ulicę: Notre-Dame des Champs; sama zaś stała w głębi, bokiem do tejże ulicy, a długością i oknami wychodziła na niepozorną lichego miasteczka uliczkę, stykającą się właśnie w tym miejscu z ulicą: Notre Dame des champs. Znachodzę ją na planie Paryża, pod nazwą: Rue Chevreuse. Wyszedłszy na schody, spotkałem u drzwi pierwszego piętra Panią Mićkiewiczową, wychodzącą właśnie z domu; spytałem ją czy mnie jej mąż przyjmie? Wróciła do pokoju, i po chwili wyszedłszy znowu, pozwoliła wejść do jej męża, i oddaliła się.

W pierwszym pokoju ujrzałem kilkoro dzieci, między niemi jedno siedzące na ziemi, nie zdające się mieć więcej nad półtora roku, i które młoda osoba bawiła. Wziąłem ją za *bonę* francuską, lecz mogła być najstarszą córką Mićkiewicza. Tam czekałem na niego.

Pokazał się wnet u drzwi drugiego pokoju; przedstawiłem mu się, a nie mając listu rekomendacyjnego, oświadczyłem, iż jako polak poczytuję za obowiązek odwidzić go, i złożyć mu hołd i uszanowanie.

Przywitał mnie grzecznie, wprowadził do drugiego pokoju, który był salonem, i usiedliśmy.

Mićkiewicz zajął miejsce od światła, nie mogłem więc przy tych pierwszych odwiedzinach mu się przypatrzyć. Mówił mało i urywano. Pokój w którym siedzieliśmy, był nader skromnie urządzony i wychodził oknami na ową uliczkę o której wspominałem. Gwaru i ruchu nie było słychać, poznałem że jestem na ostatnich kończynach stolicy.

Z literatury to tylko Mićkiewicz powiedział: że do znakomitszych obecnych poetów polskich w Paryżu liczą się: Lenartowicz i Gaszyński. Chwalił Kazimierza Stadnickiego (którego „Piasty w Paryżu wyszły) jako historyka, mówiąc, że w jego pracach są rzeczy warte zastanowienia, że dziejopisapstwo ściślej i głębiej pojmuje, niż dotychczas pojmowano.— Zganił przekład Ariosta p, Piotra Kochanowskiego, wyraził się że jest „ciężki, że tłumacz rozlał się.”

Przywiązuje wagę do Bajrona ztąd „że myśli jak teraz myślą.” Należy przez to rozumieć że Bajron na czasie, że był wyrazem myśli swojego wieku, która istnieć nie przestała.

Zapytałem Mićkiewicza czy przypomina sobie p. Mateusza Sartyniego, od którego słyszałem, że był kolegą szkolnym jego w Wilnie, i rozpowiadał mi zajmujące o nim szczegóły.

— Jest on” rzekłem„obecnie redaktorem gazety Lwowskiej.” —

— „Włoskiej?” zapytał Mićkiewicz?

— „Lwowskiej”; odrzekłem dobitnie.

— „Nie” odpowiedział „nie przypominam go sobie.

Po tej krótkiej rozmowie oddaliłem się, otrzymawszy pozwolenie odwidzenia go jeszcze o tej samej godzinie lub wieczorem, i przeczytania mu niektórych ustępów mego przekładu *Oberona*, który się właśnie we Lwowie drukował.

Po kilku dniach poszedłem znowu odwidzieć *Adama*. Było to 2. Lutego, w dniu zimy francuskiej tak łagodnej, jak piękny dzień pogodny Października lub Listopada w Polszcze. Śniegu nie było, tylko lekka mgła sie rozścielała, chłód był rzeźwiący a nie przykry, zdawało mi się, że nawet usłyszę trąbkę Wojskiego i skomlenie psiarni Soplicowskiej, gdy zapuszczając się w coraz odleglejsze przedmieścia, przechodząc ogród Luxemburga, zgiełki stołeczne głuchły i niejako w inny świat wchodziłem i innem powietrzem, jakoby polskiem oddychałem. Tak silne było złudzenie wyobraźni podnieconej i rzeczywistością i bliskością tego, który tak dzielnie umiał stworzyć i wskrzesić, obrazy pełne prawdy i życia. Tym razem przyjął mnie Mićkiewicz w swoim sypialnym pokoju, o tejsamej godzinie co poprzednio. Stół w pośrodku, biórko obok łóżka, nad którym wisiał obraz duchownej treści, nad biórkiem zaś portret Napoleona i Dantego, ogień na kominku zwyczajem francuzkim, w kraju gdzie pieców nie używają, oto cała powierzchność tego pokoju, w którym za tem powtórnem widzeniem się już po przyjacielsku powitał mnie mąż, którego rysy i postać od tej chwili na wieki w mej pamięci utkwiły.

Byłto mężczyzna średniego wzrostu, twarzy czerstwej, i jak na osobę mającą 55 lat wieku, jeszcze młodej i kwitnącej, lubo siwe do koła twarzy idące faworyty, i włos siwy, na środku głowy przedzielony, spadał mu ku ramionom; oczy miał duże, niebieskie, a w nich dziwnie ujmujący wyraz pogody i spokoju ducha, cierpliwej rezygnacyi, prawości i wyższości umysłowej, to wszystko w połączeniu z jakąś poczciwą żałością i tesknotą; postawa

lubo nieco sztywna przez zbytnie wyprostowanie i jakby wymuszona, miała swoję powagę, okazywała energią i wrażała uszanowanie.

Z portretów litograficznych mam za najpodobniejsze, ten który jest na czele wydania Wallenroda p. Tysiewicza, oraz świeżo wyszły w Paryżu.

Miał na sobie długi surdut, czamarkową robotą, futrem podszyty. Było to prawdopodobnie to samo *«ulubione futerko»* w którym go stosownie do listu umieszczonego w „Czasie" w styczniu 1856 r. do grobu złożono.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Starożytność oręży Solingerowskich.** Sławna fabryka pałaszów w Solingen, znanych w całym świecie pod nazwą Solingierowek szczyci się nadzwyczajną starożytnością. Podróżny jeden odwiedzając fabrykę zapytał jednego z dozorców, który go oprowadzał, kiedy powstała ta fabryka. Ten mu odpowiedział. że nie umie dobrze oznaczyć roku w którym powstała, ale że może go o tem zapewnić; jako oręż, którym archanioł Adama i Ewę z raju wypędził, wykuty był w Solingen.

* **Sztuczny sen.** Pan John Pepys, ogromnie bogaty anglik z Cambridge, pół swego życia przepędził w podróżach które za własnemi interesami jeżdżąc dzień i noc odbywał. Rzadko kiedy spał gdzie indziej jak w wagonie. To też do ruchu i stukotu pociągu parowego tak się przyzwyczaił, jak mielnik do młyńskiego hurkotu. Podstarzawszy się, gdy chciał użyć spokoju domowego, pokazało się że nie może spać. Nadaremnie wszelkich używał środków, aby ubłagać Morfeusza. Wpadł anglik w rozpacz, przypominając sobie rozkosznie po drogach i wagonach przepędzone noce. Nagle jak łyskawica przemknęła mu myśl nowa przez głowę. Czyliżby nie można naśladować ruchu i hurkotu wagonowego? Przecież spróbować można. Za kilka dni wszystko było gotowe, a p. Pepys ma jedyny zapewne w świecie pokój sypialny. Łóżkiem jest po prostu zwykły wagon z kolei żelaznej; podniesiony nieco, tak jest urządzony że się koła w powietrzu poruszają. Przez co powstaje ten wszystkim pociągom właściwy hurkot. W pokoju sąsiednim jest machina parowa o sile pietnastu koni, która to szczególne łóżko dowolnie w ruch wprowadzać może. Maszynista i inni posługacze są doskonale płaceni. I tak tedy gdy drudzy mieszkańcy miasta spokojnie do łóżek idą, wsadziwszy szlafmycę na uszy, p. Pepys pakuje się do swojego wagonu, i wdzięcznie wspomniawszy o błogim parowych machin wynalazku, zasypia najspokojniej, wśród okropnego hurkotu. Maszyna pracuje całą noc aż do naznaczonej godziny, p. Pepys wstaje wyspany i w dobrym humorze, aby na drugi wieczor puścić się znowu w tę senną podróż.

* **Zwolennikom wodnej kuracyi!** W chęci pomnożenia moich, przez ośmioletnią pracę na polu hydropatyi nabytych wiadomości, których początek dziełom Rausego, słynnego odnowiciela hydropatyi zawdzięczam, powziąłem myśl zwidzenia zakładu hydropatycznego, istniejącego pod zarządem Dra. Putzara w Königsbrun pod Dreznem.

To bezpośrednie zejście się z Drem Putzarem nastręczyło mi najlepszą sposobność dokładnego przypatrzenia się leczeniu chorób, tak zapalnych jak i chronicznych, a przyznać się muszę, że rady przez Dra Putzara mi udzielane nie mało do wzbogacenia moich doświadczeń się przyczyniły.

Miło mi bardzo, iż mogę, wracając do kraju rodzinnego, podać do publicznej wiadomości, że znalazłem w Drze. Putzarze lekarza, który zbaczając z drogi przyjętej przez swych towarzyszów, hydropatyę, na fizjologiczno-dyjetetycznej podstawie opierając, wedle najnowszych zasad fiziologicznych a zatem »individualnie« w jak najrozliczniejszych odcieniach do pojedyńczych chorób zastosowuje.— Można zatem w Dra. Putzara sposobie leczenia łatwo napotkać, że tenże nie samą tylko zimną i przestałą, ale i letnią, a nawet i ciepłą wodę w zakres środków leczebnych przez siebie używanych przyjął i tudzież że przeciwnie innym zakładom hydropatycznym, w których dyjetę mało albo nic nie uwzględniano, wielkie tejże przypisuje znaczenie, zastosowując ją szczegółowo do rozmaitych chorób, co mu z powodu, że cały zarząd ekonomiczny w jego rękach się znachodzi, z łatwością przychodzi.

Nie małą wspomnianego zakładu jest zaletą: zaprowadzenie szwedzkiej gymnastyki, przez wprawnych gymnastyków, wedle przepisów Dra. Putzara tamże udzielanej.

Zakład w pobliskości Drezna w bardzo pięknej dolinie, tak zwanej Szwajcaryi saksońskiej położony, sam przez się jest zapraszającym.

Urządzenie zakładu jest pojedyńcze, lecz bardzo wygodne. Pokoje jasne i miłe, i należycie umeblowane.

Dor. Putzar właściciel a zarazem i lekarz zakładu, człowiek wykształcony, pełen łagodności i ludzkości, chociaż poprzód przez lat 15. jako Doktor medycyny hołdował aleopatyi, już od lat 10., wolny od wszelkich przesądów szkoły medycznej, jako hydropata poświęca się dla cierpiącej ludzkości, wybawiając swych pacyentów z bardzo małemi wyjątkami od długoletnich cierpień.

Wzmocniony nowemi dowodami o zbawiennej skuteczności wodnej kuracyi wracam do ojczyzny: ażeby wszystkim głosić; że wybawienie od najuporczywszych chorób, li tylko przez umiejętne zastosowanie sił przyrodzonych dopiętem być może, któremu to sposobowi i ja od lat 8 życie i czerstwe zdrowie zawdzięczam.

Frauciszek Medwej.

* **Angielski żal miłośny.** Ciekawy wypadek takiego stałego żalu angielskiego podają nam gazety. Niedawno temu umarł niejaki *Scharp* czysto z miłości. Pocieszne są przytem okoliczności. Mając lat 30 zakochał się w dziewczynie, która kochała go nawzajem, i byłaby poszła za niego, gdyby nie zakaz ojca. Pan Scharp w rozpaczy oświadczył, że odtąd świat dla niego jest pustynia, która nic mu już godnego ofiarować nie może. Poszedł zatem do siebie, udał się do swego pokoju. i tam... zapewne w łeb sobie wypalił. Ale gdzie tam!. on po prostu położył się do łóżka, oświadczając że nigdy już go nie porzuci. I dotrzymał słowa ten szczególnego rodzaju szaleniec. Lat 49 przeleżał spokojnie w łóżku, a przez ostatnie 38 lat nie pozwolił nawet otwierać okna w swoim pokoju. Lecz dziwniejszem jeszcze od tej jego fantazyi było to, że mimo takiego życia, raz tylko był słaby, jadł i pił kapitalnie, wyglądał doskonale, ważył funtów 240, i dopiero na dni 7 przed śmiercią, a zatem w 79 roku swego nader czynnego życia zaczął zwykły tracić apetyt.

Nowiny lwowskie.

* W Wiedniu dnia 2. Kwietnia umarł Ordynat Stanisław hr. Zamojski, były prezes senatu królewstwa polskiego i członek Rady Państwa, kawaler Orderu orła białego i ś. Andrzeja, ojciec J. O. księżnej Jadwigi Sapieżyny. Dzisiaj o godzinie 11tej w kościele katedralnym, odbędzie się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. zmarłego.

* **Konkursa**: Posady na trzech konceptowych adjunktów przy dyrekcyi policyi w Krakowie z pensją 300—400 fl. termin podania do 6 Maja. Posada aktuarjusza w Manasterzyskach z pensją 400 złr. Termin podania do 28. Kwietnia. Posady tłumaczów francuskiego, włoskiego, rossyjskiego i hebrejskiego języka przy sądzie obwodowym w Samborze, termin podania do końca maja. Posada kancelisty przy sądzie powiatowym w Uścieczku, termin podania do 30. Kwietnia.

* **Licytacje**: Kąpiele w Szkle są do wydzierżawienia w drodze licytacyi na 5 lat od 1go Maja t. r. Dróg publicznych utrzymanie w Samborskim okręgu, dnia 23. Kwietnia w urzędzie obwodowym Samborskim. Na wystawienie dwóch szop wozy i armaty na Janowskiem we Lwowie. Termin 10 Kwietnia w kancelaryi wojskowej dyrekcyi inżynierów. Propinacja w Tarnopolu, 9. Lipca. Licytacja dzierżawy dóbr Dydiatycz 15, 22, Kwietnia i 2. Maja. w Przemyślu.

Licytacja dróg publicznych utrzymania w okręgu Dubieckim, w Sanoku dnia 24 Kwietnia.

Przyjechali od dnia 2. do 3. Kwietnia do Lwowa.

PP. Michał Wereszczyński z Żółkwi. Józef Jaworski z Kobylnicy. Teodor Waszkiewicz z Biłki. Bazyli Towarnicki z Starejsoli. Kornel hr. Golejowski z Krzywczyc. Marcell Ilnicki z Kotiatycz. Albin Dubieck z Małkowiec. Franc. Słupski z Gródka. Ignacy Andruszewski z Krakowa. Seweryn Ostaszewski z Krakowa. Ludwik Popłowski z Brodów. Antoni Malecki z Brodów. Tytus Winnicki z Nowosiołki. Ludwik Łokocijowski z Lipska. Wiktor Sokołowski z Buska. Józef Majewski z Maxymowic. Winceny Doliniański z Hoszan. Leopold Bystrzanowski z Makuniowa. Hieronim Kunaszewski z Zelibór. Ignacy Wiśniewski z Konkolnik. Józef Jasiński z Tuligłow. Henryk Ziembicki z Przemyśla. Aleksander Swieżawski z Szczepiatyna. Franc. Rudroff. z Przemyśla. Wojciech Śliwiński z Dąbrowicy. Henryk Kruszyński z Przemyśla. Felix hr. Karnicki z Rogużna. Jan Wiktor z Zarszyna. Mieczysław Zagórski z Wolkow. Wincenty Antoniewicz z Skwarzawy. Tadeusz Niewiadomski z Żółkwi, Tytus Zarzycki z Chotyłub. Julian Zarewicz z Zapytowa. Karol Wysokiński z Magierowa. Maxymil. Laskowski z Lipnik. Eustach Towarnicki Hussowa. Liberat Przestrzelski z Popizna.

Wyjechali od dnia 2 do 3. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Jan Szczurowski do Złoczowa. Grzegorz Zadurowicz do Czerniowic. Kajetan Barącz do Czortkowa. Jan Biliński do Huty. Ludwik Hierowski do Niemirowa. Felix Biliński do Huty. Kazimierz hr. Dzieduszycki do Znaim. Franc. Załuski do Zameczka. Sylwester Brześciański do Rustweczka. Wojciech Jarzymowski do Wolicy. K. Krobicki do Harklowa. Kajetan hr. Lewicki do Czortkowa. Teofil Pietruski do Derewacza. Włodzimierz Niezabitowski do Bartatowa. Jan Wiktor do Kozielnik. Józef Nikorowicz do Gaj. Juliusz Malczewski do Skwarzawa. Józef Bocheński do Głęboczka. Włodzimierz Swieżawski do Boratyna. Józef Grochowski do Budzanowa. Franc. Miliński do Helenkowa. Julian Zarewicz do Łopatyna. Walerjan Czajkowski do Nadyczy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 4 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	101 1/4	Pożyczka 5% . . .	86 13/16
Hamburg za 100 tal. branco	74 5/8	Akcye banku	1119
Londyn za 1 funt szterl.	10.5	Kolej północna . . .	301
Medyolan za 300 lirów	101 5/8	Obl. ind.	78 1/2
Paryż za 300 franków	119 1/4	Nowa pożyczka z loteryą	110
Agio duk. ces. . . .	5 1/2	Pożyczka narodowa .	87 5/16

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	43	4	47
Dukat cesarski	4	45	4	49
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	18
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	29	1	31
Talar pruski	1	30	1	32
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	85	—	85	30
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	77	—	78	—
5 proc. pożyczka narodowa	86	—	87	—
Śrebro	103	30	104	30

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.